

## Wspomnienie o Januszu Zieniewiczu



*„...próbował życia zachłannie,  
jakby wiedział, że długie  
lata nie były mu pisane.  
Dużo podróżował, uprawiał  
ekstremalne sporty, ciągle  
czegoś się uczył i przekraczał  
bariery. Nigdy nie odmawiał  
pomocy innym, chociaż  
sam o nią rzadko prosił. Jak  
każdy człowiek popełniał  
błędy, ale nie unikał za nie  
odpowiedzialności. Umiał  
wybaczać, chociaż dla swoich  
błędów rzadko znajdował  
usprawiedliwienie. Dlatego był  
człowiekiem bardzo skrytym  
i nieobarczającym innych  
swoimi problemami. Zawsze  
chronił rodzinę. Był człowiekiem  
ciepłym i tolerancyjnym.  
O ludziach nie umiał mówić  
złe. Zginął pod wysokim niebem  
szczęśliwy, bo spełniał swoje  
marzenia”.*

Tymi słowami, przekazanymi nam przez księdza oddającego ostatnią posługę, pożegnaliśmy tragicznie zmarłego, naszego przyjaciela Janusza Zieniewicza.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się z Januszem w październiku 1980 r. Janusz skończył z wyróżnieniem liceum dwujęzyczne im. Mikołaja Kopernika, w klasie z wykładowym językiem angielskim. Obydwaj dostaliśmy się bez egzaminu na Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Wszyscy, którzy dostali się bez egzaminu, trafili do grup o kryptonimach F (F11, F12, F13). Za to, że byliśmy najlepszymi absolwentami szkół średnich, Politechnika „nagrodziła” nas studiami przemianymi. Dwa tygodnie nauki na przemian z dwoma tygodniami pracy w fabryce przy tokarce czy frezarce. Tak to było w PRL-u. Na szczęście po jednym semestrze staliśmy się już normalnymi studentami. Wybraliśmy kierunek: Radioelektronika. Dyplomy zrobiliśmy w Zakładzie Elektroakustyki u doc. Witolda Straszewicza, specjalisty od projektowania akustyki sal koncertowych.

Studiowaliśmy równolegle z nieodżałowanym Czarkiem Mąkolskim (odszedł w 2002 r.), Darkiem Okrasą i Piotrem Trejdą, którzy potem tworzyli trzon zespołu firmy Cerberus Polska. W czasie studiów Janusz był powszechnie lubiany; przystojny, wysportowany, zawsze uśmiechnięty i przy tym niezwykle błyskotliwy. Był świetny z przedmiotów ścisłych i perfekcyjnie mówił po angielsku. Studia ukończył w 1986 r.

Był zapalonym narciarzem. Już na pierwszym roku studiów wstąpił do Akademickiego Klubu Narciarskiego. Niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego pojechaliśmy na narty do Zakopanego. Jak to możliwe, że mogliśmy znaleźć się tak blisko strefy nadgranicznej? Dostaliśmy zaświadczenia, że ze względu na stan zdrowia wskazany jest pobyt w górach. I pojechaliśmy z równie „chorymi” znajomymi do Zakopanego przecierać „nartostradę” z Gubałówki. Po kilku dniach zostaliśmy zatrzymani przez milicję za, jak to określono, „chodzenie po wsiach i podburzanie górali przeciwko systemowi”. Ale to już inna historia.

Pasją Janusza było też żeglarstwo i pływanie na desce. Pierwszą deskę zbudowaliśmy razem w czasie studiów. Nazwaliśmy ją „U-boot”, bo dość szybko nabierała wody i tonęła. Mnie pływano na desce nigdy specjalnie nie fascynowało, Janusza ciągnęło

bez reszty. Gdy kilka lat temu kitesurfing stał się popularny, Janusz natychmiast zaczął go uprawiać. W czasie wakacji często żeglował na Mazurach. Kiedyś spotkaliśmy się w Giżycku. Wolne chwile spędzaliśmy, pływając na nartach wodnych. Większość z nas pływała na dwóch, Janusz oczywiście już na jednej. Wypożyczyliśmy motorówkę z 20-konnym silnikiem. Narciarza nie dało się ciągnąć, ale można było pociągnąć surfera na desce surfingowej (oczywiście bez masztu i żagla). Na takiej desce Janusz „przelatywał” wokół całe jezioro, zatykając otwór po mieczu kolejnymi szmatami. Zawsze starał się być w każdej dziedzinie najlepszy.

Kolejną pasją Janusza były konie. Jeżdżąc „na konie”, poznał swoją przyszłą żonę Dorotę. Pobrali się 18 czerwca 1987 r. w kościele pod wezwaniem św. Anny w Wilanowie. W tym samym kościele pożegnaliśmy go w smutny deszczowy poranek 20 czerwca 2011 r.

Po studiach nasze drogi się rozeszły. Janusz zaczął pracować w PLL LOT. Szybko awansował na kierownika działu łączności. Latał po całym świecie i zajmował się m.in. bezpieczeństwem biur LOT-u. Obleciał prawie cały świat i stwierdził, że w „Locie” nie ma już dla niego perspektyw. Namówił mnie, abyśmy otworzyli firmę, która będzie się zajmowała zabezpieczeniami elektronicznymi. Zaczęliśmy działalność na własną rękę. Nie dysponowaliśmy odpowiednim kapitałem, wszystko musieliśmy robić sami. Nie stać nas było nawet na profesjonalnego księgowego. Pomogła nam wtedy koleżanka ze studiów Dorota Błaszczak – jej mama wprowadziła nas w tajniki księgowości. Janusz błyskawicznie chwycił podstawy księgowania w „amerykance”, wyśmiewając mnemotechniczne zasady stosowane przez księgowych. On widział wszystko na skróty, bez zmuszania sobie głowy przenoszeniem liczb pomiędzy kontami pomocniczymi. Zanim osiągnęliśmy równowagę finansową, siadaliśmy raz w miesiącu w mieszkaniu państwa Zieniewiczów na V piętrze starej kamienicy przy ul. Gagarina i mozolnie zapisywaliśmy strony „amerykanki”. Jeżdżąc wtedy używanym fordem sierrą, którego nazywał do brotliwie „ścierką”, mówił do mnie, że kiedyś będziemy jeździli nowiutkimi vectrami. To „proroctwo” nigdy się nie spełniło. Ani On, ani ja vectry nie mieliśmy nigdy.

Pewnego dnia Janusz przyszedł do mnie z wiadomością, że dostał bardzo interesu-

jącą propozycję: utworzenie i poprowadzenie polskiego oddziału szwajcarskiej firmy Cerberus. Cerberus był już wtedy obecny w Polsce poprzez firmę Stefa Control System z Austrii, ale nie miał na naszym rynku specjalnych sukcesów. I znów nasze drogi się rozszły. Janusz ostro wziął się do pracy. Pierwsza siedziba „nowego” Cerberusa mieściła się w Panoramie. Tam też zebrał się trzon przyszłego zespołu: koledzy ze studiów, do których dołączyła Renata Kupniewska, specjalistka od finansów. Dynamiczny rozwój firmy spowodował konieczność zmiany siedziby na większą, a potem na jeszcze większą i bardziej prestiżową. Okres Cerberusa to czas, kiedy Janusz pokazał w pełni swoje cechy przywódcze i umiejętność zarządzania dużym zespołem ludzi. Zbudował dynamiczną i dochodową firmę. Cerberus obsługiwał największe i najbardziej prestiżowe inwestycje. Metro Warszawskie, NBP, TP S.A., Kancelaria Sejmu i Senatu, MSZ, Port Lotniczy na Okęciu to tylko niektórzy ważni klienci.

Janusz był zawsze punktualny i bardzo wymagający w stosunku do siebie i pracowników. Do wypowiedzianych słów przywiązywał wielką wagę. Jeśli na coś się umawiał, to zawsze tego dotrzymywał. Nawet w sytuacji, kiedy nie było to dla Niego korzystne. Za to Go ludzie szanowali i cenili. Otrzymałem kondolencje od jednego z byłych pracowników Cerberusa. Treść mówi sama za siebie: „Szanowny Panie Andrzeju, szczere kondolencje od byłego pracownika Pana Janusza. Człowieka, który zmienił moje życie”. Przejęcie Cerberusa przez Siemens było dla Janusza ciosem. Nie

odpowiadała mu praca w wielkiej korporacji, ogrom niepotrzebnej sprawozdawczości, która odrywała ludzi od normalnej pracy z klientami. Wiedział, że walcząc z korporacją, chroni swoich pracowników i dba o wynik finansowy firmy, ale jednocześnie skazuje siebie na porażkę. Ale walczył.

W 2003 roku rozstał się z firmą. Nie wrócił już do pracy w zabezpieczeniach. Zajął się bardziej dochodową branżą, jaką było w tamtym czasie budownictwo. Jako deweloper wybudował m.in. osiedle „Leśny Zakątek” w Ząbkach. Niestety nie zdążył skończyć takich inwestycji jak „Apartamenty Rozewie” w Jastrzębiej Górze czy „Mazury Residence” koło Giżycka, pierwszego w Polsce kompleksu typu Airpark & Marina – osiedla rezydencji z dwoma portami jachtowymi, hotelem i lotniskiem dla awionetek. Bo właśnie latanie było kolejnym hobby Janusza.

Swoją przygodę z lataniem rozpoczął jedenaście lat temu. Zdobył licencje pilota awionetki i helikoptera. Latanie stało się jego pasją, jednocześnie pozwalając na szybkie docieranie do miejsc, gdzie prowadził swoje interesy. Gdy miał przelatanie 200 godzin, zaproponował mi wspólny lot. Zapytałem wtedy, ile trzeba mieć wylatanych godzin, żeby być uznanym za w miarę doświadczonego pilota. Odpowiedział mi, że z 500. Powiedziałem, że w takim razie poczekam. Faktycznie nigdy z Nim nie wsiadłem do awionetki. Zapytałem, kto by się zajął naszymi rodzinami, gdyby coś z nami się stało? Nigdy mi na to pytanie nie odpowiedział...

I niestety stało się... w czasie ostatniej wyprawy lotniczej do Portugalii. Był jednym z bardziej doświadczonych pilotów w grupie znajomych, którzy wybrali się w ten lot. Do tamtej pory brał udział w wielu ekspedycjach. Wyprawy: na Nordkapp (Przylądek Północny, czyli najdalej na północ wysunięty skrawek stałego lądu Europy), do Maroka śladami bohaterów filmu „Casablanca”, do Francji, Chorwacji, Albanii i kilka innych.

Różne aktywności i sporty gromadziły wokół niego wielu ludzi. Był dla nich przyjacielem i kompanem we wspólnej zabawie. Był człowiekiem wyjątkowym i nieszablonowym. Ale nie obnosił się na zewnątrz ze swoimi troskami i kłopotami. Czasami tylko skarżył się na nieuczciwość niektórych osób, z którymi się stykał lub robił interesy. Wszystkimi swoimi troskami chyba z nikim się nie podzielił.

Wiadomość o Jego tragicznej śmierci wstrząsnęła mną do głębi. Trudno mi pisać o Nim w czasie przeszłym. Przecież jeszcze tak niedawno rozmawialiśmy, Jego słowa mam ciągle w uszach...

Szczere wyrazy współczucia dla rodziny i jego najbliższych, kondolencje dla wszystkich, którzy Go znali i kochali.

*Cześć Jego pamięci!*  
Andrzej Tomczak  
ID Electronics Sp. z o.o.

